DAWID MŚCISŁAWICZ

KNIAŹ NA ŁUCKU.

DAWID MŚCISŁAWICZ

KNIAŹ NA ŁUCKU,

CZYLI

SMUTNE ZWYCIĘZTWO ODNIESIONE
NAD MOGOŁAMI.

POWIEŚĆ WOŁYNSKA

Z XIII WIEKU

PRZEZ

M. Ż.

TOM II.

WARSZAWA,
w Drukarni S. Nowakowskiego,
przy ulicy Danielewiczowskiej Nr. 617.

1845.

*Wolno drukować
z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem
przepisanéj liczby Exemplarzy.
w Warszawie d. 19/31 Sierpnia* 1844 *r.*
Cenzor starszy, Naczelnik K. C. W.
Niezabitowski.

DAWID MŚCISŁAWICZ

KNIAŹ NA ŁUCKU.

Korekta podług pisowni autora.

I.

Powrót Dysława.

Po wyjściu Borysa z córą, — Maryja długo myślała o swojéj przyszłości i okienkiem wyzierała na Jordanka, który dla nauki i wprawy strzelał z łuku do Tatara; częściej jednak zapuszczała wzrok daléj, wyżéj aż do ko-

kopułki kościołka Trojanowskiego, — bo w tém miasteczku były wszystkie myśli, — była jéj dusza. Naprzeciw Maryji siedziała Bożena, przędła grube nici do rybackiéj sieci i o czemś marzyła: — może także o Trojanowie.

— Mój Boże, — pomyślała Maryja, — każdy zapobiega względem swojego losu nadal, każdy myśli o sobie, a ja niemogę; — oprócz młodszego brata i starą babkę, niemam nikogo na świecie, któryby opiekuńczém okiem wéjrzał na mnie. Jestem jak kwiatek na pustyni, którego nic odpowiedniego jego uczuciom nieotacza. Raptem przeszła do in-

nych mysli. Mój Boże — na coś mi dał serce pełne wrzących uczuć? — Gdybym była głazem, byłabym szczęśliwą, — tak — szczęśliwą! — niecierpiałabym tak wiele; — a dziś, czuję okropność mojego położenia! — Ten, który mi dał uczuć niebiańskie szczęście, ten, który mi wyjawił nieznaną tajemnicę, głębokiéj, płomienistéj miłości, — dla mnie nazawsze stracony! — Powołanie wojenne, do najwyższych go zaszczytów posunie; — on jest tak bogaty i waleczny, — a ja uboga, bez żadnych na przyszłość widoków. On dla mnie na wieki stracony; — ja powinnam go wyrzec

się i nigdy nawet o nim niepomyśléć.

Łzy strumieniami spłynęły na jéj blade lice; — lecz śpiesznie je otarła, aby utaić przed dobrotliwą Bożeną.

Na drodze od Trojanowa do słobody, zatumanił obłok kurzawy. Maryja w momencie odgadła, czyj konik poruszył kopytami szybkołotny piasek Złożyła więc ręce na piersiach i rzekła:— Ah babciu droga! p. Dysław do nas jedzie.

— To dobrze, odrzekła Bożena z uśmiéchem, zabierzemy go z sobą do Borysa, na wieczorynkę.

Maryja zbladła i ciężko westchnęła.

— Ale — pamiętaj, — mówiła dalej starucha, — bądź roztropną i uważną; ani się raduj zanadto, ani się zadumywaj, — bo jedno i drugie dla dziewczyny nieprzystoi. Zresztą pamiętaj i na to, że jeśli Stary Posadnik niepozwoli synowi z tobą się żenić, to nasz Sotnik Cierpimir, praworny kozak, choć stary, będzie twoim mężem.

Podczas tej przestrogi, zarżał, zatentnił konik cętkowaty; — krasiwy mołojec szybko zeskoczył, powitał Jordana i wszedł wraz z nim do izby.

Gdy się on witał z Bożeną i zwykłe o zdrowiu i powodzeniu dawał zapytania, w sercach jéj wnucząt dwa różnorodne kipiały uczucia. Bogaty strój kozaczy na Dysławie dodawał mu niemało wdzięków; — on więc w oczach Maryji, po tak długiém niewidzeniu, pokazał się wspanialszym nad orła gór zadnieprowskich a piękniejszym nad słónko w wiośnie. Ona tając w sobie ciężkie westchnienia, spoglądała ukosem na jego siwe oczy ozdobione szerokiémi brwiami, — na jego lice białe, rumiane i usta czerwone jak malina, nad którémi puszyły się czarne wąsy starannie

przymuskane. Jordan zaś ciągle ocierał się przy lewym boku — i nieznacznie dotykał jego szabli, która w jego oczach była tak piękną, iż nie wytrzymał i rzekł: — Gdzieżeś — do stu sotni — p. Dysławie, — tak harną szablicę dostał? Oddałbym za nią wszystkie dziewczęta naszéj słobody.

— Nawet i córkę Borysa, — zażartował krasiwy mołojec klepiąc Jordana po ramieniu.

Młody kozaczek spłonął rumieńcem, okręcił się po trzykroć na jednéj pięcie, tupnął, zaśmiał się i na odpowiedź przemówił wesoło: — No, no — powiedźcie mi skąd macie tak harną szablicę.

— Od samego Kniazia Dawida, odrzekł z powagą syn Starego Posadnika.

— To i ja pójdę do niego, — niech i mnie da jaką, do stu sotni, szablicę. Ale, ale — czy on takich jak wasza ma dużo? bo wielkim panóm kłaniać się napróżno niemyślę, — wolę do stu sotni, jakiemu Chanowi z rąk wydrzeć.

— O! ma podostatkiem, — może takiémi szablami całą rotę uzbroić. Lecz o nią – mój Jordanku, – nietrzeba ani się kłaniać, ani prosić, on sam każdemu daje.

— Każdemu? – to niéma czym,

do stu sotni, — tak bardzo się czwanić.

— Mój Jordanku,—tylko proszę cię nikogo nieobrażaj!— bo nieżyczyłbym ten miecz sprobować naprzód na tobie.

Te słowa tak groźnie wymówił syn Lasoty, że Maryja z rozłożonémi rękami śród nich stanęła, a Bożena odprowadziwszy na stronę Jordanka, przemówiła: — słuchaj ja cię przędziwem wzmuszę do milczenia, jeśli będziesz gadał od rzeczy. Poczem przemówiła do gościa: — Niegniewajcie się p. Dysławie, za nieroztropność mojego wnuka. Ot lepiéj

powiedźcie mi co tam słychać w Łucku.

Krasiwy mołojec zajął miejsce obok Maryji i tak się ozwał: — Dwa miesiące bawiłem w tym ogrodzie. Co tam Bojarów, Diaków, Panów radnych i Ogniszczan, a co rycerstwa, to jak wróblów w naszych strzechach, jak kaczek na naszych jeziorkach; trudno za nimi przejść drogę aby zobaczyć starego Kniazia Ja, byłem polecony przez ojca klucznikowi zamku Łuckiego i on mi ułatwił widzenie się z Kniaziem.

— Czy tak — zawołała Bożena — a więc widzieliście Kniazia? —

— Do stu sotni, wrzasnął Jordan, który dotąd stojąc przy oknie bębnił palcami po szybach, — a od kogożby, jeśli nie od Kniazia, dostał tak harną szablicę.

— Brawo Jordanku, przemówił Dysław wesoło, — chodź niech cię uściskam. Ja niezmiernie się lubuję twoim chwatowskim humorem. Odtąd na twoje docinki będę tak zimny jak twój Tatar, do którego niedawno strzelałeś; widzę bowiem że nikogo obrażać niemyślisz i gniewać się nieumiész.

W czasie serdecznego ściskania się dwóch hożych mołojców, w oczach Maryji zamigotała naj-

żywsza radość, a niemogąc jéj ukryć, ani też wyjawić, przylgnęła do ręki Bożeny i całowała.

— Jakże nasz Kniaź miłościwy, wygląda? zapytała starucha, — jeszcze za życia mojego syna Mikity Owady, ja go widziałam.

— Wygląda wspaniale jak stary orzeł, jak Bojar nad wszystkimi ~~Bojarami~~.

— Jak wasza — do stu sotni — szabla, przydał z hałasem Jordan.

— Ty znowu włazisz w drogę mój kozacze, mruknęła Bożena, — ej — ej! —

— Nigdym jeszcze tak dostojnych osób niewidział zbliska, —

zabrał głos Dysław, a więc Kniaź Dawid nasz pan miłościwy, swoją okazałą postawą, pięknem i czerwstwem licem, białemi jak mleko wąsami i bogatym ubiorem tak mi pomięszał w głowie iż niewiedziałem od czego mam zacząć mówić.

— Otoż mi mołojec do stu sotni, wrzasnął Jordan, — Oj — choć niemam jeszcze wąsów i brody jak wy p. Dysławie, jednakże niczegobym się niestrachał i nie tylko z naszym Kniaziem, ale z Chanem wszystkich, do stu sotni Tatarów, jakie są na świecie, rozmawiałbym śmiało, jak teraz z wami.

— .Dla tego właśnie żeś młody, odrzekł łagodnie Dysław,— to ci się zdaje że jesteś chwat i odważny na wszystko;—jednakże gdybyś stanął przed starszym, możnym i wszechwładnym, toby w tobie serce niepodzisiejszemu zadudniło,zbladłbyś niezawodnie ze strachu i w gębie zapomniał języka.

— O tak źle do stu sotni, pewnoby niebyło. Orzeł młody nie stracha się nigdy starych,— nieucieka od nich a wraz z nimi uczy się latać i napadać na słabsze stworzenia. Ja też sądzę. że nasz Kniaź pan miłościwy jest taki sam kozak do stu sotni jak i ja;— tyl

ko że ma wąsy białe i łysą głowę, bo stary jak ojciec Krasnorody. Czegóż więc miałbym się go strachać,— kiedy nieraz z Borysem ząb za ząb ujadam.

Wesoły uśmiech prześliznął się przez usta syna Starego Posadnika, a niechcąc rumienić tak chwackiego kozaka, obrócił się do Bożeny i szepnął:— z waszego wnuka będzie z czasem praworny i waleczny watażka

— Wszystko to być może, — odrzekła ścicha, jednakże on mnie tém nieraz gniéwa. że nikomu nieustąpi z drogi, wmięsza się do każdej sprawy i kłócących się, jeśli niepogodzi, to jak psów na·

hajem rozpędzi. Poczem dodała głośno: — Ależ bo mój Jordanku nieprzeszkadzaj! ja radabym o wszystkiém podrobnie słyszeć.

— W tym grodzie spędziłam młodość, wyszłam za mąż, wyhodowałam syna, po którym zostały mi wnuki. Niewiém p. Dysławie czemu to przypisać, że mąż mój, syn a teraz wnuczek mają tak brzydką przymówkę: — do stu sotni.

— Babciu — babciu — ja za p. Dysława odpowiem, że tak być powinno. Przecież we mnie ich krew, do stu sotni płynie! — ja więc i mojego syna nauczę pier-

wej do stu sotni, — téj przymówki wymawiać, jak mamo— chleba.

— Łuck co do ludności, bogactwa i przepychu, przemówił Dysław, niesądzę aby się w czém zmienił, wszelka albowiem klęska naprzód by zamek dotknęła, — a on stoi na wzgórzu, zewsząd Styrem oblaném, w niczém nieuszkodzony. Co do osób z któremi wy niegdyś żyli, niebędę mógł zapewno żadnéj wam udzielić wiadomości, — a więc pozwólcie Boženo, że na dziś będę wam mówił o tém, co mnie najbardziéj zajmowało, a kiedyś jeśli lepiéj poznam mieszkańców

Łucka, to i waszemu życzeniu zadosyć uczynię.

— A tak — do stu sotni — bo cóż nas mają zajmować umarli — Ot lepiéj posłuchamy jakim sposobem p. Dysław dostał tak harną szablicę. Ależ bo — do stu sotni — harna! — Gdybym wiedział że Kurdas Chan Zawolski ma podobną, tobym dziś jeszcze poszedł z nim bić się do stu sotni, — o zakład — o szablę.

— Nieśpiesz się Jordanku, — będziesz miał sposobność wkrótce zapytać Chana, czy ma podobno szablę? — Kniaź Andrzéj Dawidowicz na przyszłą wiosnę pociągnie na Tatary — a ja

tu po to przybyłem aby ciebie zabrać.

— Ha! do stu sotni,— pojadę.

— A teraz pozwól mi Jordanku, niech opowiém jakie miałem przyjęcie u Kniazia Dawida, a tém samem będziesz wiedział, jakim sposobem otrzymałem tak bogaty i piękny podarunek. Otóż kiedy niewiem, czy ze strachu, czy z zbytniego uszanowania, zapomniałem od czego miałem mówić, — Kniaź sam do mnie naprzód przemówił: — Kozacze, musisz być synem Lassoty, o którym stary klucznik tak dużo pochwalnego mi mowił. — Tak jest, miłościwy Panie i Knia-

ziu, odrzekłem śmiało, chociaż niewiedziałem o co rzecz idzie. Ty chcesz zaciągnąć się,—mówił Kniaź daléj, — w hufy mojego syna, — który wkrótce z Wołynia pociągnie na dzicz pogańską. — Tak jest, miłościwy Panie i Kniaziu, — znowu się odezwałem. — Pochwalam twój zapał — przydał Kniaź Dawid, — a dla podtrzymania w tobie odwagi i waleczności śród mozolnych obowiązków zawodu rycerskiego, mianuję cię ciałostrażnikiem mojego syna i obdarzam mieczem, na który ile razy spójrzysz, pamiętaj przypominać sobie, że go nosisz na pognębienie wrogów a

dla dobra twojego kraju. Po tych słowach zdjął szablę ześciany,— ja przyklęknąwszy, pocałowałem w rękę naszego Kniazia, a potem szablę i przypasałem ją do boku. Kniaź pogłaskał mnie po twarzy, ja ukłoniłem się i wybiegłem z sali, chyżo jak strzała z majdanu.

— Brawo! zawołała uradowana Bożena.

— Hura! do stu sotni — przydał Jordan.

Maryja ciężko westchnęła.

— Jordanku — rzekła Bożena, — ty z swoją stu sotnią, roztropniebyś zrobił, gdybyś urządził miejsce pod lipą, dla przy-

jęcia miodem i konfiturami tak zacnego gościa.

— Babciu — odezwała się Maryja — to do mnie należy

— A ja — dodał uprzejmie krasiwy mołojec, — dla czegóż mam być próżnującym?

I wszyscy razem zabrali potrzebne do stołu przyrządzenia i siedli pod lipą.

II.

Kilka słów czułych.

Malowniczy lazur nieba, gdzie niegdzie lekkiemi jak czarodziejskie duchy zasiany obłoczkami;— przyjemny powiéw wietrzyka rozsiéwający wonie kwitnącej lipy; tajemniczy i szmerliwy rozhowor jéj liści i fantastyczne cie-

nie, w których jak pod skrzydłem anioła pokoju z roskoszą można przepędzać chwile; słowem, to wszystko co tylko najmilszym darem natury nazwać się może, otaczało to grono, ten obraz najsłodszéj i najpłomienistszéj wiosny.

Dysław i Maryja z wyrazem największego zadowolenia, spoglądali ukradkiem to po sobie, to na otaczające ich przedmioty. Ich serca rozmawiały przez oczy, ponieważ myśl nie mogła słów wynaleść do wywnętrzenia uczuć.— Jordan żywego jak wiatr temperamentu, niemógł usiedzieć spokojnie długo na jednem miej-

scu, — rzekł więc: — Lubujesz się p. Dysławie swym mieczem, jak stary Borys bliźną, — pozwól więc niech się i ja poczwanię moim gniadoszem, bronią i zręcznością. Dysław skinieniem głowy przychylił się do życzeń a korzystając z jego chwilowego oddalenia, uchwycił białą jak śnieg rękę Maryji, przybliżył do piersi i rzekł z zapałem: — Maryjo! ja bardzo wiele rzeczy mam ci do powiedzenia. Lecz zacznę od tych wyrazów: Maryjo — czy ty mnie kochasz?

Młoda czarnobréwa z rumieńcem spójrzała, a dwie perły łez

czyściejsze od kropel rosy zakołowały w jéj oczach.

— A cóż — do stu sotni, — wołał praworny kozaczek, latając w koło dziedzińca na koniu i wywijając na wszystkie strony jak piórkiem rohatyną. Cóż — czy nie rączy mój gniadosz.

— Maryjo! — przemówił Dysław, pozbywszy się Jordana skinieniem głowy. Maryjo! — ja poprzysiągłem sobie nieodejść ztąd, dopóki stanowczéj nieotrzymam odpowiedzi. Maryjo — czy ty mnie kochasz.

Czarnobréwa zakryła twarz rękami i poczęła płakać.

— Ha — do stu sotni — patrz

p. Dysławie, w największym pędzie w same oko trafię Tatara. Jordan co wyrzekł, to spełnił i uradowany przeleciał krękiem potoczystym wokoło dziedziniec.

— Maryjo! powiedz choć jedno słowo! — Ja jestem w rozpaczy;— niebądź więc tyle bez serca, abyś mi odjęła nadzieję posiadania cię kiedykolwiek.

Jordan przez ten czas miał ciągle doczynienie z Tatarem, a sądząc że Dysław na to zwracał uwagę, kładł nawet różne znaki, w które miejsce miał uderzyć i uderzał. Syn Starego Posadnika niemogąc trzymać myśli i uczucia swoje w rozdwojeniu, ma-

szynalnie więc to ręką, to głową wychwalał kozaczka zręczność, a do jego siostry całém sercem przemawiał.

— Maryjo! czy jeszcze długo moje pytania będą dla mnie zagadką?

— Hola — hola — p. Dysławie! zagruchaliście się — do stu sotni — jak turkawki, a nieuważali jakiem ja zręcznie rohatyną, zerwał skręt z łysej głowy Tatara. Powtórzę więc jeszcze raz dla waszéj rozrywki.

— Maryjo! niedręcz mnie dłużej! wyrzeknij choć jedno słowo, gdyż od twojéj odpowiedzi, mo-

ja spokojność i szczęście moje zależy.

Maryja ciągle milczała, Dysław rozpaczał, a Jordan kręcił się w koło dziedzińca, jak chrząszcz za nogę nitką złapany. Nareszcie, silna gra uczuć w oczach i licu Maryji, przedstawiła domyślnemu mołojcowi wewnętrzną burzę jéj duszy. Tak— tak, zawołał z radością— ty mnie kochasz!— I objiema rękami przybliżył ją do swojego łona.

— Kocham— odrzekła Maryja zaledwie słyszanym głosem.

— Maryjo! czułem to, że mnie kochasz i chciałem tylko z ust

twoich usłyszeć wyrok o mojém przeznaczeniu.

Dziewica jak gdyby tém zeznaniem największy grzech popełniła, zbladła i zemdlała. Dysław musiał ją w swoich objęciach podtrzymać.

— Hola! — co tobie jest Maryjo! — wrzasnął Jordan zatrzymawszy tuż przed nią gniadosza, — zapewno zlękłaś się żem tak dziarsko kieresznął Tatara! — Cha, cha, cha, do stu sotni — a przecież to bałwan drewniany. O Krasnoroda niezawodnie niebyłaby tak czułą, choćby nawet i krew do stu sotni, na rohatynie zobaczyła.

— Tak — tak — odrzekł dobrodusznie krasiwy mołojec, — twoja siostra się zlękła. Po tych słowach posadził ją na ławie.

Poważna Bożena nadeszła wreszcie, trzymając w misach owoce, konfitury i inne przysmaki. Jordan zeskoczył z konia, machnął nahajką, a gniadosz pobiegł do swojego stanowiska.

Syn Starego Posadnika, przytomny lat trzydziestu mołojec wymiarkował, że w obecności Bożeny najlepszy będzie rozhowor, w treści obejmującéj zręczność jéj wnuka; — unosił się więc ciągle nad dzielnem jego jeżdżeniem na

koniu i wywijaniem rohatyną. Babka młodniała z radości, stawała się coraz rzeźwiejszą,—Maryja ciągle milczała;—Jordan wykręcał się na jednéj nodze, a Dysław od czego zaczął, na tém zakończył swój rozhowor.

Z zaprosin na wieczorynkę do Borysa zręcznie się wywinął;—wsiadł na cętkowatego konia i odjechał.

III.

Miłość wzajemna.

Syn Lassoty uszczęśliwiony, że czas, od zatrudnień służbowych wolny, — mógł przepędzać w rodzinnéj ziemi, na łonie ojca, który go kochał jak wspomnienie lat w boju spędzonych i jak swoją sławę, — nieraz pod pozo-

rem konnej przejażdżki wymykał się sam jeden z dworu i po kilka godzin siedząc obok Maryji, marzył o przyszłém 'szczęściu. Przestrzegał go przezorny Wiarus, że te tak częste wycieczki do słobody, dojdą nakoniec do wiedzy Starego Posadnika,— lecz zakochany mołojec puszczał z wiatrem jego napomnienia i wołał narazić się na największy gniew swojego ojca, jak pozbawić siebie widzenia choć przez jeden dzień, miłéj dla serca istoty. Dla omylenia Wiarusa w jego śledzeniach, puszczał się nieraz w inną stronę i krążył po zaroślach i moczarach; —

zawsze jednak choć na krótko, musiał być w chatcę Bożeny, bo nietylko on, ale nawet cętkowaty konik nawykł już do téj przystani, gdzie go wygody i spocznienie oczekiwały.

. Skutkiem każdodziennego widzenia się z Maryją, humor młodéj dziewicy stał się weselszym; — ona otwarciéj z nim postępowała, wierzyła wszelkim jego wynurzaniom i do tego stopnia zaślepiła się w miłości, że przystała chętnie na połączenie się z nim, byle za wiedzą i błogosławieństwem ojca. Syn Starego Posadnika, niedowierzał jéj jednak; niezaniedbał więc wszel-

kich użyć zapewnień, w nakłonieniu ojca do swoich zamiarów i nareszcie otrzymał od Maryji tak stanowcze przyrzeczenie, że odmowa z jéj strony już nigdy nastąpić niemogła.

— Dziś jeszcze moja najmilsza! – mówił on, — będzie mój ojciec wiedział, że ja bez ciebie żyć niemogę, że bez ciebie, ani zapał do boju, ani sława mojego rodu, niebędą podnietą w mém życiu. Stanę się martwym, zimnym nad kamień i chociażby wróg był już na naszéj ziemi, niewezmę miecza do ręki; — niech jak niedołężnego rozsieka w kawały, lub zapędzi w dale-

kie stepy; jak niewolnika, — dla mnie to wszystko będzie jedno; — bez ciebie będę bez uczuć, bez myśli i bez życia nawet.

Biédna Maryja, słuchała go jak głosu anioła stróża, który rozpostarł nad nią opiekuńcze skrzydła szeroko, daleko: bo z téj chwili, aż do końca dni jéj życia.

— Pamiętaj mój drogi Dysławie, że od ciebie moja spokojność, honor i życie moje zależy; pamiętaj! — Lecz po co mam tobie napomnienia dawać, kiedy mnie kochasz? — kiedy nasze serca wkrótce połączą się nierozerwanym węzłem. Czyż nieprawda?

— Maryjo, droga Maryjo! — kocham cię bardziéj nad wszystkie skarby świata, — nad wszystkie godności rycerskie. O jeśli nieprawdę mówię, to niech zginę od piérwszej strzały Tatarskiéj; a jeśli uniknę śmierci na polu bitwy, to niech zemsta twojego brata ściga mnie na każdym kroku.

— Ciszéj Dysławie, moja babka nadchodzi. Jeszczem jéj niemówiła o mojém poświęceniu się dla ciebie.

— I niemów, dopóki zezwolenia na nasz związek od Starego Posadnika nieuzyskam.

Poczciwa Bożena przysunąwszy

się zwolna jak jesienna chmura, do romantycznéj pary, oziębiła natychmiast zapał rozhoworu, — tylko w oczach i sercu tlał wulkaniczny ogień.

— Co to ma znaczyć,— przemówiła starucha, — że Jordanek niewraca; — jestem o niego niespokojna, to niepodobna aby tak długo żegnał się z Krasnorodą.— Może ją przeprowadza, równie jak was p. Dysławie? — toby mi znowu na całą dobę przyniósł zmartwienia.

— To niepodobna — odrzekł syn Lassoty,— on niezawodnie siedzi u Borysa, albowiem Krasnoroda pod noc do Łucka niewyjedzie.

— Kto wie, dodała Maryja,— ona niezmiernie chce prędzej widzieć wychowanicę Kniazia, którą nam zachwalał z urody i dobroci, posłaniec p. Homira.

Krasiwy mołojec zalał się cały rumieńcem jak słonko przed burzą. W moment sotnie strasznych myśli przebiegły w jego duszy, niemógł więc naprędce zebrać choć słów kilka, dla pokrycia silnego wzruszenia.

— Pan Dysław musiał ją nieraz widzieć — przemówiła Maryja.

— Widziałem,— lecz ona za nadto jest dumna, aby mogła komu się podobać.

— Ah! gdzież jest mój Jor-

danek?—co to ma znaczyć?—Już słonko bliskie zachodu, a jego niewidać?— On o téj porze zwykł już być w domu, bo wié że p. Dysława u nas zastanie.

Nie tyle troskliwość Bożeny o swojego wnuka, ubodła syna Lassoty, ile to napomnienie że słonko już bliskie zachodu. Lękając się więc aby przez posłańców ojca niebył poszukiwany, wsiadł na koń, klasnął nahajem i puścił się do Trojanowa, kłusem rzęsistym aż ziemia dudniła, a piasek tryskał gradem na około.

IV.

Pojedynek.

Już był w połowie drogi syn Lassoty, gdy szczupły, chudy kozak, wyskoczył z czaharów i wstrzymał pęd cętkowatego konia. Jak się masz Dysławie, — przemówił głosem bardziej szyderczym jak wesołym.

— Syłło — co ciebie sprowadza w nasze strony? — Młody Lassota wnet zeskoczył z konia dla powitania ziomka. Syłła zwolna odtrącił go od siebie mówiąc: Przybyłem po mój miecz i oto go mam z rąk Starego Posadnika. Lecz z odbiorem miecza mamy, jeżeli sobie przypominasz — zakończyć nasze nieporozumienia.

— Tak, tak, — mój towarzyszu! — na cóż albowiem mamy zakłócać, niewinnem posądzeniem o zdradę, przyjacielskiego zaufania.

— Nikczemniku, zawołał z wściekłością Syłła, — sądzisz że ci się uda jeszcze raz ułaskawić

zemstę miodowemi słowy? — O nie — śmierć twoja lub moja, położy chyba zemście tamę.

— Syłło! co tobie jest?

— Ty niewiesz, — a jednak z twojéj łaski wygnano mnie z Łucka, jako kłóciciela domowéj spokojności. Ty niewiesz, a jednak z twojéj namowy wyrzekła Wanda, że się mną brzydzi bardziéj jak szatanem. Obłudniku! — broń się bo cię zabiję jak węża, który na to pełza, aby czego się dotknie zatruł swoim jadem Broń się!

— Syłło — upamiętaj się — co tobie jest? — tyś w obłąkaniu. — Mogła Wanda sama donieść o na-

szém spotkaniu się Kniaziowi, gdyż była podówczas w ogrodzie! — Ja zaś niemiałem sposobności z nią o tém mówić. Nazajutrz z zamku wyjechałem.

— Tak— a Homir a Artemon twoi przyjaciele, czy o tém niewiedzieli? — Nikczemniku, tyś na sławę moją i na mój ród, rzucił najszkalowniejsze potwarze, które niczém innném jak tylko krwią własną lub twoją zmazać potrafię Broń się.

— Jeśli tak chcesz — cóż robić. Lecz jeszcze raz tobie powtarzam, że Wandę niekocham i nic z nią nigdy o tobie niemówiłem.

— Kłamstwo, bezczelne kłamstwo; zawołał z wściekłością Syłła,— rzucając się na Dysława.

Zbiegły się—jęknęły ich miecze i najzapalczywsza wszczęła się utarczka. Koń cętkowaty Dysława zlękniony silnym chrzęstem broni, pobiegł jak wicher po szlaku wiodącym do Trojanowa, jak gdyby chciał zawiadomić wszystkich w dworze o niebezpieczeństwie swojego pana.

Stary Posadnik siedział tego wieczora przy oknie, przypatrywał się zachodzącemu słońcu i marzył o swojém życiu, które już chyliło się ku zachodowi. Przeżył on wszystkie nadzieje, — je-

dna mu tylko została, słodząca przykre starości chwile tą myślą, że się odrodził w synie.

Przy progu stał Wiarus, patrzał wesoło na Posadnika i często otwierał usta dla przemówienia, lecz nieśmiał przerywać marzeń swojego pana.

— Mój syn nielubi siedzieć w domu, przemówił Lassota, — ciągle jeździ a jeździ. Dobrze to przyuczać się dzień cały siedzieć na koniu i nieczuć znurzenia, — ale on co innego a nie naukę ma na celu. Oj muszę mu wypędzić z głowy tę słobodziankę.

— Wszystko to — panie miłościwy, na nic się przyda, — od-

rzekł Wiarus. Jak tylko panicz ożeni się z wychowanicą Kniazia, — to ho ho, — ani zajrzy do słobody. Teraz zwyczajnie jak młody, to mu smutno siedzieć w dworze.

— Słusznie mówisz kozacze, — ale ja niewiém jak mój syn był u niéj położony: ani Homir, ani Artemon nic mi o tém niedonieśli. Bo co u Kniazia Dawida, — to wiém, że najlepiéj.

— A u wychowanicy, trzy sotni razy jeszcze lepiéj, odrzekł Wiarus, — ona mojego panicza bardziéj, nad wszystkich synów Bojarskich, co to przy niéj harcują bezustanku, miłuje. Nawet

ten Syłła, co to tu do nas po miecz swój zjechał, w wielkiéj był kłótni o nią z p. Dysławem, ale on mu i miecz odebrał i gębę zatkał. W początkach, prawda,— mój panicz bardzo był do wychowanicy Kniazia nieśmiałym, ciągle mówił, że Wanda patrzy tylko na synów kniaziowskich; — ale ja pamiętając na wasze zlecenie, takém namawiał, takém ośmielał panicza, że on widywał się z nią to w zamku, to w ogrodzie i przy odjeździe dostał nawet kwiatek w podarunku, o który właśnie z tym Syłłą była największa kłótnia.

— Gdy tak, to możnaby po-

słać swatów do Kniazia — i prosić o rękę wychowanicy dla syna.

— Panie miłościwy — i jak można!

Lassota nic nie odpowiedział, — wsparł się łokciami na futrynie okna, patrzał na zachodzące słónko i znowu marzył. Raptem zerwał się z miejsca, załamał ręce i głosem rozpaczy zawołał: — Dla Boga! — co to ma znaczyć! — sam tylko koń wbiegł na dziedziniec. Prędzéj ratujcie mojego syna! — musieli go zbójcy napaść!

Wiarus wymknął się za próg, rozesłał dworskich kozaków na różne strony, sam zaś wsiadł na

rumaka Dysława i puścił się szlakiem wiodącym do słobody.

— Mężu—co znaczy ten krzyk i ten ruch na dziedzińcu? — może nas Tatarzy napadli? — wołała z przerażeniem podżyła już kobieta.

— O ja nieszczęśliwy! nasz syn w niebezpieczeństwie.

— Dysio — nasz Dysio — ach dla Boga! gdzież on jest? — niech lecą? niech go ratują.

— Może go już zabili, zamordowali. O ja nieszczęśliwy!

— Gdzie? kto?

— Zbójcy!

— Dla Boga! ratujcie mojego

syna! — Nieszczęśliwa matka załamała ręce i padła na sofę.

— Nieraz go napominałem, mówił ze łzami starzec, — aby sam jeden niewyjeżdżał z dworu. Ale on nigdy starszych niesłucha; — nigdy nikogo z sobą nieweźmie, przecież u mnie na koniach i ludziach niebrakuje. O ja nieszczęśliwy!

Tak ubolewając usiadł na sofie obok małżonki łkającéj z żalu, i rozpłakał się nad swoim losem.

W pół godziny czasu wszedł Wiarus z kilkoma kozakami niosąc na ręku Dysława krwią zbroczonego. Panie miłościwy,

rzekł, — wasz syn jeszcze żyje, oddecha, można go ratować; — lecz drugi zimny jak kamień.

— Synu, mój synu! zawołała matka i padła obok ciała Dysława. Stary Posadnik obejrzał rany, potrząsł głową i rzekł: — Zanieście go do jego komnaty i przywołajcie natychmiast starą Bożenę, bo ona zna się dobrze na ziołach. Ale — któż tam jest drugi, dodał Lassota.

— Ten sam, co to dzisiaj wziął swój miecz z rąk waszych.

— Przenieść go także do dworu, może mu jeszcze ratunek dać można.

— Niéma, miłościwy panie, z czém się śpieszyć? — znam się ja dobrze na ranach, bom nieraz w bitwie bywał. Lecz niepojmuję co to z nimi było? — oba tuż koło siebie leżeli; — jeden i drugi miał miecz dobyty i jeden i drugi tak mocno skrwawiony, że jeśliby nie po wzroście, nigdybym z twarzy mojego panicza niepoznał. Musiała im rzecz pójść o ten kwiatek wychowanicy Kniazia.

Wiarus po tych słowach, pokręcił głową, wyszedł na dziedziniec i krzyknął: — Hej, chłopcy! — tam — na połowie drogi do słobody Kurzastopka, nieda-

łeko kopca z krzyżykiem, leży ciało mołojca zabitego, — przenieście je do dworu i to natychmiast

V.

Posłaniec z Kijowa.

Wielki, szeroki tuman piasku, wyrwawszy się z pod kopyt szmyrgającego jak jeleń, rumaka, tułał się po moczarach, zaroślach i smużkach, przyległych drodzę prowadzącéj do Łuckiego zamku. Było to w połowie Paź-

dziernika, kiedy rozmaitość kolorów, nadaje borom i niwom malowniczą postać, — kiedy żórawie, gęsie i kaczki w długich i kupiastych stadach, odlatują na zachód, żegnając ponurym, przeciągłym skrzekiem gniazda, w których się ich dzieci wylęgły; — kiedy nakoniec rolnik dbający o zabezpieczenie życia na zimę, zwozi z pól i ogrodów zboże i warzywa. Słowem był to czas, w którym największy ruch łącznie ze śpiewem, napełnia całą naturę, — jednakże jeździec pędzący, jak wiatr po stepie, niemógł ani chwili poświęcić lubowaniu się tą rozmaitością, klaskał na-

hajką i hukał bezustanku; na krótko zatrzymywał się w przydrożnych gospodach i daléj szmyrgał.

Mieszkańcy Łucka zdaleka go zajrzeli i na most wybiegli. Wkrótce stanął przed nimi barczysty kozak, lecz tak mocno okurzony, że ani koloru wąsów i brody, ani cery twarzy zajrzeć niemożna było. Jednak Łucczanie, jak tylko ujrzeli na tarczy niedźwiedzia w polu białém, obok anioła białego w polu czerwoném, — natychmiast poznali gońca z Kijowa, gdyż on raz lub dwa razy na miesiąc zwykł bywać w Łucku i przywozić im różne wiadomości

z przydrożnych miast a nawet i słobód.

Długą ten wędrowny goniec miał na moście rozprawę, nim każdemu z pytających dał zaspokajającą odpowiedź i otrzymał nowe zlecenia. Nareszcie wjechał w dziedziniec zamkowy i wszedł do komnat kniaziowskich. Wszystkie były sale przepełnione rycerstwem i Bojarami, którzy wraz z Kniaziem Andrzejem Dawidowiczem zjechali na radę. Za pokazaniem się gońca, wzmógł się ruch i gwar do takiego stopnia, że trudno było wyrozumieć jakie były zapytania i jakie odpowiedzi:

ich wrzaskliwe głosy obijając się o wysokie, łamane sklepienia, klekotały nad głowami, jak gdyby gromada niewidzialnych duchów, prowadziła między sobą sporny rozhowor. Z radości ogólnéj jaka nastąpiła, w tém bezustannie ruszającém się zgromadzeniu, można sądzić że żadnéj smutnéj nieodebrano wiadomości.

Stary Artemon słysząc tak wielki hałas, wszedł na salę i wkrótce pocieszył się nadzieją rychłego przybycia do zamku, Kniazia na Kijowie. Posłaniec zbliżał się potrzykroć do starca, nim upatrzył stosowną porę do

poszepnienia mu kilka wyrazów. Artemon jeszcze z pół godziny rozmawiał z Bojarami, nakoniec zbliżył się do gońca i dał mu znak nieznacznie, aby przeszedł do jego komnaty.

Artemon i goniec zniknęli niepostrzeżenie z tłumu rycerskiego, a gdy w samotnéj komnacie zajęli miejsce na dębowéj ławie, drugi z nich przystąpił do sprawozdania. Byłem w Trojanowie jadąc do Kijowa i na powrót. Piérwszą razą miałem ze Starym Posadnikiem długi rozhowor względem losu jego syna na przyszłość. On pała najgorętszą chęcią połączenia go z córą

jakiego Bojara wysokiego rodu, a tém samém przeszkodzić różnym miłostkom, które w skutku, mogłyby przynieść sromotę a nie zaszczyt. Po wynurzeniu takich życzeń dodał,—że w zamku Łuckim jest młoda i krasiwa wychowanica Kniazia w któréj jeśliby on mógł ujrzeć swoją synowę, liczyłby się w rzędzie najszczęśliwszych ludzi. W tym względzie chciał on koniecznie porozumieć się z wami, jako z człowiekiem, od którego przyszły los Wandy zależy. Drugą razą na okropną zastałem scenę:—Stary Posadnik, jego małżonka i cała dworska służba, w okropnym

byli pogrążeni smutku,— bo młody Dysław, leżał na śmiertelném łożu. Rzecz się tak miała. Syn p. Lassoty po powrocie z Łucka, często dla rozrywki przejeżdżał się konno i razu jednego spotkał się niedaleko Trojanowa z Syłłą przybocznikiem Kniazia Andrzeja; a że oni mieli między sobą jakieś nieporozumienie, starli się więc na miecze i oba bez siły, krwią zbroczeni, upadli na ziemię Syłła przeniósł się do lepszego życia, a Dysława zaledwie oddéchającego przeniesiono do dworu. Stary Posadnik utrzymuje, że ta starczka była w skutek wspólnego ubiegania się o ła-

ski wychowanicy Kniazia, albowiem syn jego otrzymawszy pierwszeństwo, wzniecił w współzawodniku zemstę do takiego stopnia, że go przyszedł szukać aż do rodzinnéj ziemi. Z tego wszystkiego co zwyż powiedziałem, mając Stary Posadnik najpewniejsze dowody, miłowania wychowanicy Kniazia przez jego syna, zobowiązał mnie abym was uprzedził o jego zamysłach i otrzymał ostateczną odpowiedź, czy one mogą mieć pożądany skutek; — w przeciwnym albowiem razie, wyśle swojego syna do Kijowskiego zamku, aby go tym sposobem uwolnić od widzenia

Wandy i od narażenia się poraz drugi na utratę życia.

— Niémam ja nic przeciwko synowi Starego Posadnika, jednego z moich najlepszych przyjacioł, — jest on krasiwy, przytomny i układny. Nawet wychowanica Kniazia, miłuje go bardziéj nad innych, którzy się starają o pozyskanie u niéj względów; jeżeliby więc to odemnie tylko zależało, połączyłbym natychmiast dwa serca, raz na zawsze. — Ale w tém tak ważném przedsięwzięciu, niemogę nic działać bez Kniazia Dawida, którego może zupełnie są inne zamiary, co do zabezpieczenia

losu Wandy. Jednakże, powtórz Staremu Posadnikowi, aby on śmiało przysyłał syna do Łucka, odtąd bowiem ja sam będę go miał na baczności, aby wszelkim nieporozumieniom, z ubiegającymi się o Wandę przeszkodzić, a tém samém niedać do utarczki powodu. Co się tyczy jego życzeń, to stanowczéj dać mu odpowiedzi niemogę; — jednakże nakłonić Kniazia Dawida przyrzekam: — bo z pomiędzy wszystkich tu dzieci Bojarskich, on się odznaczał tém szlachetném postępowaniem, które zjednało mu pochwałę od przewódzców, a dobre serce odemnie.

Pocieszony goniec tak miłą odpowiedzią, za którą Stary Posadnik niezawodnie sowicie wynagrodzi, — niedługo w zamku gościł: posiliwszy się źwierzyną i ogromnym dzbanem piwa, otarł wąsy, wsiadł na koń i szmyrgnął w podróż.

VI.

Postanowienie.

Stary Artemon wypogodził swe lice po wyjściu gońca, — jak księżyc gdy niespodziewany wietrzyk rozpędzi mgliste tumany; on bowiem ciągle biedził się nad położeniem Wandy, która z tęsknoty po Dysławie, unika

towarzystw, a ciągle tylko przepędza czas z Krasnorodą, będącą jej, za wstawieniem się Homira, przydaną za nieodstępną przyjaciółkę. Lecz jak unikanie towarzystw, tak też ciągłe rozhoworzy z młodą Borysowną, nic dobrego niewróżyły, — a Artemon, wiedząc po części od Wiarusa, gdzie Dysław najwięcéj przesiaduje jeżeli gości w dworze Trojanowskim, lękał się aby od niéj Wanda o niepotrzebnych rzeczach się niedowiedziała. Miał on w tém wielką słuszność, jak się z następstwa pokaże.

Nic dziwnego że młode, jednolatki, wkrótce związały się z so-

bą uprzejmą przyjaźnią, wspartą na szacunku i wzajemném zaufaniu, ale otwartość Krasnorody w oddaniu przeszłości syna Starego Posadnika, niemogła żadnéj przynieść pociechy, a tylko obrazić źle zrozumianą dumę, że jakaś słobodzianka ma nad nią wyższość. Starała się jednak Wanda pokryć swoje nieukontentowanie przed Krasnorodą, a w duszy postanowiła użyć wszelkich sposobów, do podbicia krasiwego mołojca pod moc swoją Na humorze i wdziękach, okazywała ona co dzień widocznie uszczerbki: utajana bowiem tęsknota, niemogąc wynurzyć się w słowach inny

dla siebie środek musiała obrać. Tak woda zaparta w szklannem naczyniu niemogąc z niego się wydobyć, wnika w niewidzialne okiem szkła otwory i jego przeźroczystość coraz bardziéj zaciemnia.

Wanda oczekiwała z największą niecierpliwością, przybycia syna Lassoty, więc gdy tylko zdarzyła się sposobność, to niezaniedbała uczynić Artemonowi pytanie, dla czego młody ciałostrażnik nieprzybył do zamku, kiedy w nim oddawna Kniaź Andrzéj się znajduje? — Rozmaite bardziéj domysły jak przyczyny, kładł Artemon za odpowiedź,

ponieważ do przybycia gońca z Kijowa, sam nic pewnego niewiedział: — stary Lassota na wszystko przebiegły, trzymał w największéj tajni przygodę Trojanowską. Miał on w tém następujące swoje wyrachowania: naprzód, chciał się przekonać gruntownie o niewinności syna, potem zjechać do Żytomiérza i przed młodym Kniaziem przedstawić całą sprawę we właściwém świetle, — nakoniec, prosić o przebaczenie dla syna i o zachowanie tajni przed Dawidem. Co gdy nastąpiło, — wtedy dopiéro odważył się tę rzecz, przez gońca Kijowskiego, Artemonowi

przedstawić z przydaniem swoich życzeń.

Artemon pocieszony tą myślą, że będzie mógł na pewnych zasadach donieść Wandzie o rychłém przybyciu Dysława do zamku, wszedł z wypogodzoną twarzą do jéj komnaty.

— Miałem pewną, moje dziécie, wiadomość, rzekł on wesoło, będąc z nią sam na sam,— że syn Starego Posadnika wkrótce do nas przybędzie. Był on zajęty sprawami domowémi i więcéj musiał czas przepędzać w Kijowie jak w domu ojca. Przytem, dowiedziałem się jeszcze o innych rzeczach, które po części i

do ciebie nalcżą. Stary Posadnik, mój dawny znajomy, pokładając we mnie swoją nadzieję, zwierzył się w pewnéj ważnéj myśli, na którą, naprzód bez twojego, a potem, Kniazia Dawida zezwolenia, stanowczéj odpowiedzi dać niemogłem. Jego ta ważna myśl, ma za grunt ożenienie syna z córą jakiego Bojara, wysokiego rodu, których tu do zamku zjechała się gromadka niemała.

— A cóż tu, odemnie ma zależyć, — podchwyciła szybko Wanda, usiłując utaić wzruszenie.

— Cierpliwości moje dziécie, przemówił z uśmiéchem Artemon, — Lassota Stary Posadnik

dumny i zamożny, z liczby tych wszystkich Bojarów co w zamku się znajdują, uważa Kniazia Dawida za osobę najdostojniejszą; a że on niéma córy, więc chce prosić Kniazia o rękę twoją dla syna.

— Mój przyjacielu, — odrzekła Wanda, jakiejże możesz odemnie spodziéwać się odpowiedzi? — Przecie wiadomo tobie że jego uprzejmość i piękne ułożenie, czynią mi go milszym od innych.

— Ważna to jest pobudka, do przyczyny w zamiarach Starego Posadnika, lecz kto wié, jaka jest myśl Kniazia Dawida, co do two-

jego losu. Może już inny Bojar otrzymał jego przyrzeczenie.

— O nie — mój przyjacielu, — to być nigdy niemoże! — Kniaź tak mnie kocha, że niemógłby zastosować się do tego niewolniczego względem płci naszéj zwyczaju, oddawania nas w zamęście gwałtem temu, na którego wybór serc zestarzałych padnie. On bez porozumienia się ze mną niedałby nikomu ostatecznéj odpowiedzi; a dotąd z nim, niemiałam jeszcze w podobnéj myśli rozhoworu.

— Podzielam to zdanie, — jednakże trzeba zwolna przygotowywać Kniązia do wysłucha-

nia twojéj miłości ku synowi Starego Posadnika. Przedewszystkiem należy zwierzyć się z tém przed Andrzejem,— on wiele ma mocy nad sercem Dawida;— nadto potrzeba koniecznie Dysława posunąć na wyższą godność wojskową, aby tym bardziéj mieć pewność że odmówienie nienastąpi. Co do piérwszego, twojéj zostawiam roztropności, a względem wywyższenia go, ja biorę na siebie.

Wanda pocałowaniem w ramie podziękowała za tak przychylną radę, i ciągle cieszyła siebie nadzieją połączenia się z krasiwym mołojcem, dopóki Artemon z jéj

oczów nieznikną̨ł. Wówczas nowe myśli zajęły jéj umysł: brwi się nachmurzyły, twarz zbladła, a w oczach łzy stanęły. Mój Boże,— zawołała, o czémże ja z Andrzejem będę mówiła? — że kocham Dysława! — I cóż z tego, — kiedy nie jestem pewna czy on mnie kocha? — Wspomnieć o życzeniu Starego Posadnika i na téj zasadzie żądać, aby zezwolono na nasze połączenie, jest to wszystko jedno, co życzyć gwałtu i przymusu bliźniemu, do którego sama nigdybym się niezastósowała. Niepowiém więc ani słowa, będę milczała dopóki niezobaczę Dysława i niepoznam, że do wy-

jawienia przedemną miłości, brakuje mu tylko odwagi W przeciwnym razie, będę milczała, wolę umrzeć jak podejściem zadać mu przymus w tak ważném przedsięwzięciu. Będę taiła w sobie uczucie miłości i tęsknoty, a jeśli on przybędzie, wówczas wyłącznie mojém będzie staraniem, aby się mu przypodobać i zasłużyć na miłość.

Po takiém postanowieniu złączyła się z gronem szatnic w którem znajdowała się Krasnoroda i jak gdyby żaden smutek ołowiem na jéj sercu niecięży], była wesołą, a nawet swywolną

— Dawno cię Wando, w tak

wesołym widziałam humorze, — odezwała się Krasnoroda, — zapewno Artemon przyniósł jaką wiadomość od młodego Syłły, który was tak bardzo miłuje, że z synem Starego Posadnika chciał się ścierać na miecze w oczach waszych, — jak mi powiadałyście.

— Dosyć tych żartów, wiesz dobrze że Syłłę niecierpię, nienawidzę. On, po wyproszeniu go z zamku, jako burzyciela domowéj spokojności, niepoważyłby się dać o sobie najmniejszéj wieści.

— Miłość kiedy jest szczéra i gorączkowa, to na żadne obelgi niezważa i różnych chwyta się

środków aby znowu nastąpiło pojednanie i zgoda. Nic więc dziwnego, że Sylła zostający w stosunkach ze wszystkimi prawie Bojarami wysokiego rodu, zaniósł przez którego z nich prośbę do Kniazia naszego miłościwego.

— Dobra Krasnorodo! — daj mi pokój z tym zagorzalcem. Jak to pewna że z kruka nigdy orzeł niebędzie, tak to, że się on w naszym zamku już więcéj niepokażę. A jeżeli chcesz wiedzieć koniecznie co mnie tak rozradowało, to powiém.

— Cóż takiego?

— Oto — zapowiedziane tany

na dzisiejszy wieczór, na których mnóstwo krasiwych mołojców znajdować się będzie.

— I ta wiadomość miałażby wam być na samotności udzielona? — Chyba że Artemon nieżyczy sobie, abym się ja znajdowała się na tańcach.

— Jego życzenia niemogą tak daleko sięgać. On ma inne ważniejsze sprawy na swojéj odpowiedzialności.

— Jeśli tak — to lepiéj będziemy mówiły o strojach, które nas najbardziéj zajmować powinny, kiedy ma być tak świetna gała.

Wanda zadowolniona wesołém przejściem do innego rozhowo-

ru, sama się naprzód o ubiorach odezwała; tuż za nią gradem posypały się wyjawienia swojego gustu i czas im przyjemnie, chyżo ulatywał.

VII.

Daremny przymus.

Tańce, na domysł przez wychowanicę Kniazia zapowiedziane, jak na toż się sprawdziły: bo Kniaź Dawid mając tak liczny zbór gości, zajętych ciągle naradami, niemógł zapomnieć o zabawie.

Wraz z zachodem słonka, tysiące świateł zatlało, kapela zabrzmiała i puściły się taneczne kręgi. Krasnoroda popisywała się w skokach z prawornym mołojcem, a szczególniéj w szumcę, swoim najulubieńszym tańcu. — Wanda przeciwnie, jak najmniéj oddawała się zabawie: — bo na jéj udręczenie, niebyło nawet Kniazia Andrzeja, z którym najbardziéj lubiła tańczyć, a co ważniejsza, miała jemu kilka słów do powiedzenia. Sierdziła się w duszy za jego nieobecność, dopóki się niedowiedziała od Artemona, że ważne sprawy zatrzymały go przy ojcu i że na

dzisiejszy wieczór wcale się niepokaże na sali. Tenże Artemon przestrzegł, że dla niej jest niestosownie siedzieć zadumaną, kiedy oczy całego zgromadzenia są na nią zwrócone; — a więc jak mogła taiła w sobie smutek i z każdym tańczyła, kto tylko poważył się prosić.

Ta jednak zabawa, wcale niezostawiła miłego wspomnienia. Za powrotem do komnaty marzyła nie o niéj, lecz o dawno ubiegłych, na których syn Starego Posadnika się znajdował.

— Dla czego on dotychczas nieprzybywa, pomyślała, — za-

pewno, jego zupełnie inne są zamiary, jak ojca. On mnie nie kocha, on o mnie może nigdy ani wspomni? — W każdym jednak razie, powinienby tam się pokazać, gdzie obowiązki służbowe wzywają. On więc do zamku przybędzie. Dla czegoż dotychczas go niéma?

W podobnych myślach, będących wypływem niecierpliwego oczekiwania, zostając bezustannie, traciła widocznie wesoły humor i częściéj przepędzała czas samotnie jak w gronie szatnic; — częściéj wymykała się do ogrodu i po kilka godzin siedziała w rozkosznéj altanie, w któréj poraz

ostatni z krasiwym mołojcem się widziała. Serce jéj wówczas niewymownie wzruszone było na każde miłe wspomnienie. Ona w nich tylko miała upodobanie, albowiem syn Lassoty przedstawiał się, to na sali podający uro nioną różę, to przy altanie tenże kwiat z rąk jéj odbierający, to nareszcie pokonywający Syłłę, tak szlachetnie,— bez miecza. — Przy ostatniém wspomnieniu, uczucie radości łączyło się ze strachem: w jéj uszach brzmiały groźne Syłły wyrazy: — broń się— i łagodne Dysława: — bracie upamiętaj się! — Lecz radość zawsze spłaszała przestrach z jéj serca;

bo prawdziwie bohaterski obraz przedstawiał się duszy: w którym łagodna cnota rozbraja szaloną zemstę.

Krasnoroda, nieodstępna jéj towarzyszka, w początkach pozwalała sobie różnych żartów i wymieniała kilku po kolei synów Bojarskich, na których zdawało się, że padł ostateczny jéj wybór; widząc jednak wielką omyłkę w swoich postrzeżeniach, dała pokój i poczęła dzielić smutek, w którym Wanda zostawała, niewchodząc bynajmniéj kto do takiego uczucia był powodem. Stary tylko Artemon wiedział przyczynę i mógłby jéj nieść pocie-

szenie, lecz niestety, sam gubił się w domysłach, dla czego Stary Posadnik ani syna, ani żadnego posłańca do zamku nieprzysyła. Niepodobna mu jednak było zostawić Wandę na pastwę tęsknocie, która mogłaby wywrzéć złe następstwa na jéj lubieżną powierzchowność;— przeto każdodziennie przychodził do niéj z torbanem, grał i śpiéwał rozmaite przygody, a zawsze wybiérał takie, w których najdłuższe serc rozłączenie, było uwieńczone połączeniem się węzłem dogrobowym.

Skutkiem jego opiewań czasów dawno-ubiegłych, w sercu Wan-

dy powstawała nadzieja, że kiedykolwiek zobaczy przedmiot swoich marzeń, — stała się więc znowu weselszą, a na wszelkich zabawach i ucztach, wszystkim zachętą do tańca. Trzymała się jednak zawsze przestrogi Artemona, to jest: do grzeczności, tak zimną i dumną łączyła obojętność, że żaden z mołojców nieośmielił się przed nią wyjawić uczuć, chociaż ją namiętnie miłował.

Tydzień po tygodniu upływał, uczta po uczcie następowała, zewsząd ściągała się młodzież i odjeżdżała, a nadzieja wychowanicy Kniazia była tylko nadzieją. Syn Lassoty nieprzybywał. Ona

znowu poczęła towarzystwa szatnic unikać, rzadziéj bywać na zabawach, a częściéj oddawać się marzeniom.

— Mój Boże, pomyślała sobie, — wszystko sprzysięgło się na moje udręczenie. Kniaź Andrzéj, niegdyś tak często mnie odwiedzający, — dziś unika — nawet na ucztach ani razu się niepokazał. Wiem o tém, że on oddawna znienawidził huczne zabawy, a wyłącznie oddał się sztucę wojennéj; jednakże nigdy niepesądzałam go, aby o mnie mógł zapomnieć.

Nareszcie sroga zbliżyła się zima: ponury świst wiatrów zaję-

czał po smugach i borach, wkradł się do ogrodu, do altany nawet, w któréj Wanda lubiła najbardziéj przesiadywać, — a przylegając z chłodem do okien komnat nasuwał w jéj duszy jeszcze posępniejsze myśli.

Lecz każda pora ma sobie właściwe przyjemności. Wanda poczęła myśléć o sannéj przejażdżcę, o polowaniu i tym sposobem jak mogła skracała nudy i tęsknotę.

Jednego ranka, dmuchnąwszy wiatr północny chłodem, sypnął rzęsistym śniegiem, zapewno dla zawiadomienia naturę, że zima już rozpoczęła swoje panowanie.

W kilka godzin posrebrzyły się niwy i smużki, a na gałęziach boru zatrzymały się śnieżyste strzępki i uformowały długą, białą wstęgę, podpartą czarnémi pniami. Wanda spoglądając na okolice, westchnęła, już nie ze smutku, że one straciły powab, lecz że Kniaź Dawid tak mocno będąc zajęty naradami, niepowita zapewno nadchodzącéj zimy myśliwską ochotą. Nietraciła jednak nadziei, wyjednania ulubionéj rozrywki, którąby choć na chwilę mogła pocieszyć w tęsknocie: — była pewną że Kniaź Andrzej natychmiast przyczyni się do życzeń, skoro tylko

mu je wyjawi. Lecz jakże to uskutecznić? — Potrzeba użyć sztuki, przymusu; zastosować się do kozaczego przysłowia: gdzie niemożna przejść, tam przeskoczyć.

Podsycona tą myślą, rozstawiła na czatach w długim kurytarzu po jednéj z szatnych dziewic, a sama z Krasnorodą poglądala na ogród.

— Już się więc nasze skończyły przechadzki, w których Wando, tak gustowałaś

— Jedno więc drugim wynagradzać będziemy, odrzekła Wanda udając wesołą Zapewno i ty lubisz polowanie? Ah — nieuwie-

rzysz Krasnorodo, co to za rozkosz. Gdyby więc tylko udało się nam złapać Andrzeja, to jutro o świtaniu już byłybyśmy oto w tym borku. Czy widzisz go? — na prawo — jak ten krzyż przydrożny. Co to za rozkoszny borek, a jaki szeroki? — ciągnie się przeszło na cztery godzin drogi, aż do Włodzimierskiego zamku. A co w nim źwierzyny! — to gdyby sotnia była myśliwych, każdemuby niezawodnie dostała się zdobycz.

— Pani, pani! — odezwała się jedna z szatnic. Kniaź Andrzej wyszedł z obradnéj sali.

— Więc go poprosić do mnie.

W kwadrans czasu wszedł wysmukły młodzieniec, bogato ubrany, lecz tak blady, że Krasnoroda z wyrazem podziwienia spojrzała na niego; dokładny jednak przegląd jego rysów przekonał ją, że należał do liczby krasiwych mężczyzn.

Po krótkiej z Wandą rozmowie, przyrzekł Kniaź młody zarządzić na dzień jutrzejszy polowanie;— a co przyrzekł, to dotrzymał.

VIII.

Gość pożądany.

Zaledwie pierwszy brzask dzienny przerzadził nocne tumany, zaraz ozwały się na dziedzińcu trąbki myśliwskie i kilkanaście sfor gończych zaskomliło. Kilku Bojarów i młode rycerstwo, pokazali się konno go-

towi do ochoty; za nimi Kniaź Andrzej z orszakiem myśliwców, następnie Wanda w zielonym ubiorze i Krasnoroda z łukiem przewieszonym przez ramie i oszczepem w ręku.

W ślad za nimi wyruszyło kilka długich wozów, przeznaczonych na skład zdobyczy.

— Do naszego orszaku, jak widzę, przybyła jeszcze jedna zwolennica łowów,— przemówił wesoło Andrzéj, gdy pominęli most drewniany położony na Styrze,— wygląda hożą jak boginia,—mam więc nadzieję, że nam pójdzie pomyślnie: – z pełnémi trokami będziemy wracali.

— O niezawodnie, — odrzekła Wanda, — moja przyjaciołka wyrosła na koniu, a strzéla z łuku i włada oszczepem, jak najzręczniejszy mołojec.

— Skądżeś przybyła do naszego zamku, zagabnął ciekawie Andrzej, rumieniącą się Krasnorodę.

— Z za Trojanowa, ze słobody Kurzastopka, — odrzekła nieśmiało.

— Gdy tak, to od ciebie będę mógł powziąść dokładną wiadomość, co się stało z synem Starego Posadnika.

— Nic — niewiem

— Jakto? nic niewiedzieć o tak krasiwym mołojcu - to niepodobna? — Z resztą ponieważ z jednych stron jesteś, to zapewno choć słyszałaś o strasznéj z nim przygodzie?

— Cóż się z nim stało? — zawołała niespokojna Wanda.

— Leży śmiertelnie raniony, — odrzekł Andrzéj, — właśnie od twojéj przyjaciołki chcę się dokładnie o tym wypadku dowiedzieć.

— Piérwszy raz o tém słyszę, — przemówiła Krasnoroda, — to musiało się stać już po moim wyjeździe.

— Cóż się z nim stało — mów prędzéj Kniaziu! ja bardzo jestem niespokojna, rzekła Wanda.

— Cóż ciebie Wando, może jego los zajmować, kiedy go nieznasz?

— Kogo? — Dysława jabym miała nieznać, kiedy w naszym zamku tak długo przebywał?

— O gdy tak — to cała tajemnica już wyszła na wiérzch. Zapewno znałaś i Syłłę, mojego przybocznika?

— Znałam, — to bardzo zuchwały i niespokojny mołojec? — W zamkowym ogrodzie, tuż przed mojémi oknami, chciał koniecznie walczyć z Dysławem, — i

gdyby on niewydarł mu miecza z ręki, pewnoby przyszło do starczki. Kniaź Dawid dowiezia wszy się o tém odemnie, zabronił Syłlę znajdować się kiedykolwiek w zamku.

— Święcie, święcie wykona nakaz, rzekł Andrzej, albowiem Dysław go zabił niedaleko Trojanowa.

— Zabił — mój Boże! czy podobna aby tak szlachetny młodzieniec był zabójcą?

— Musiał nim być, — kiedy go Syłła wyzwał na miecze. Ale ża co? — niémam potrzeby mówić, bo tobie Wando, daleko lepiej jak nam wiadomo.

Wanda dla pokrycia wzruszenia, przysporzyła bieg rumakowi; — tuż za nią puściła się Krasnoroda, Andrzej i cały orszak myśliwców. W kilka minut już byli w borze.

O pomyślności łowów niemamy co wątpić, dla téj wyłącznie przyczyny, że las do którego wjechali, przepełniony był źwierzyną rozmaitego gatunku; — naładowano więc pełne wozy, — a nawoływanie i tropienie psów jeszcze nieustawało. Ale Kniaź Andrzej zarządził polowanie tylko na prośby Wandy, którą kochał jak siostrę, — postanowił wię wrócić do zamku przed południem.

Wkrótce marsz powrotu uderzono w trąbki, wszyscy myśliwi i zgraja psów zbiegła się w jedno miejsce. Dobyto z torb rogi napełnione miodem i suche mięsiwa.

Kniaź Andrzej niezsiadał z konia, nic niejadł i niepił: — ciągle spoziérał na różne strony i mocno się dziwił, że ani Wandy ani jéj przyjaciołki niebyło widać. Gdy go niepokoiła ich nieobecność, Wanda szczególniejsze miała spotkanie. Uganiając się za sarną którą raniła, raptem jéj rumak parsknął i w bok się cofnął; zaszeleściły gałązki krzaków a ogromny niedźwiedź, wy-

party z legowiska, wprost do niej zmierzał. Ona przez pośpiech zaledwo lekko ranić go mogła; Krasnoroda cokolwiek pewniejszy strzał dała: niedźwiedź się zatarzał, zaryczał, a po chwili powstał i z całą złością do nich zdążał. Obie razem krzyknęły i już miały ratować się ucieczką, w tém krasiwy mołojec przyskoczył do niedźwiedzia,— jedném cięciem oszczepu obalił go, schwycił za kudły i złożył u nóg Wandy. Kilku młodych myśliwców nadbiegło na krzyk niewieści,—i uradowani, zanieśli zdobycz do wozu. Wanda z podziwieniem spoglądała na swojego wybawcę:

tym bowiem krasiwym mołojcem, był syn Starego Posadnika; — a uniesiona radością obsypywała go wyrazami wdzięczności; — poczém poczęła mu różne zapytania dawać, mniéj zważając na hasła powrotu.

— Właśnie, mówiła ona, — miałam dziś z Andrzejem pogadanie o p. Dysławie. On mnie zapewniał żeście byli śmiertelnie chorzy? — a po was ani widać żebyście szwankowali zdrowiem.

— Byłem chory — to prawda — lecz niebezpieczeństwo w kilka tygodni, dzięki poczciwéj Bożenie, minęło. Ja miałem natych-

miast przybyć dla objęcia włożonych na mnie obowiązków, ale troskliwość ojca przytrzymała mnie tak długo w domu.

— Czy sami przybyliście? zapytała Krasnoroda.

— Z Jordanem, odrzekł Dysław, on bowiem ani na jeden krok niechciał mnie odstąpić przy moim wyjeździe.

Dźwięk myśliwskiéj trąbki po raz trzeci rozległ się po lesie, — lecz tą razą poznała Wanda, że to było trąbienie srebrnéj trąbki Kniazia Andrzeja. Zwróciła więc pęd rumaka w tę stronę, skąd dźwięk się dobył i wkrótce, stanęli we troje w orszaku łowczych.

Nadaremno Dysław pragnął wytłumaczyć się przed swoim dowódzcą, dla czego tak się spóźnił z przybyciem do jego hufów; — nadaremno wychowanica Kniazia chciała opisać przygodę jaka ją w borze spotkała; — Kniaź młody, wziąwszy krasiwego mołojca za przedmiot swojéj wesołości, bezustannie przez całą drogę prześladował Wandę, upolowaniem źwierzyny dotąd jeszcze niewidzianéj w borze.

Wjechanie na dziedziniec zamkowy z hałasem psów, koni i ludzi, przerwało tak żartobliwy rozhowor. Kniaź Andrzej zaprosił wszystkich na myśliwską

wieczerzę, a obracając się do Dysława, dodał: — uczta będzie na uświetnienie pamiątki oswobodzenia Wandy od niebezpieczeństwa. Po tych słowach, wraz z Wandą i Krasnorodą, zniknął w podwojach zamkowych.

— Przysięgam na mój miecz,— mruczał Syn Lassoty, wracając do mieszkania Homira, gdzie zostawił Jordana, — przysięgam na mój miecz, że tak krasiwą niepokazała się mi jeszcze i razu, jak w łowczym ubiorze. Niedziwota, że Sylła tak ją miłował, iż wolał zginąć, jak widzieć we mnie współzawodnika. Kto wie, możebym i ja nikomu nieodstąpił

przodka; gdybym był w jego skórze? — niéma co sporzyć — harna i okazała! — a jam téj krasy poprzednio ani zajrzał.

Zostając Dysław w tak słodkiém rozmyślaniu, nikogo niewidział przed sobą, pomijając szeroki dziedziniec, a tym bardziéj Jordana, który, jak tylko hałas powstał na dziedzińcu, przyłożył twarz rumianą do szyby, wyszczerzył dwa rzędy białych pereł i z podziwieniem patrzał na ten świetny orszak: — widział on wysmukłego, bladego mołojca w przystojném ubraniu, dwie czarnobrewy i hurmę przybocznikó w. Sier-

dził się więc na Dysława że tak nieprędko wracał, — i dla dogodzenia swojéj ciekawości wzmusił Praksedę żonę Homira, aby mu wyjaśniła co to byli za jedni. Pani Klucznikowa, która niezmiernie polubiwszy wesoły i rubaszny humor Jordanka, bezustawnie z nim żarciki stroiła, niedała się długo prosić;— przylgnęła do okna i rzekła z uśmiéchem: — Ten wysoki mężczyzna jest Kniaź Andrzej syn naszego Kniazia i pana miłościwego, — tuż przy nim stoi Prokop z nad Horynia pan łowczy, dalej dostojny Bojar.

— Alež do stu sotni niepomijajcie tych kobiét, wrzasnął Jor-

dan tak mocno, że aż szyby zadźwięczały.

— Te kobiéty? — odrzekła śmiejąc się, — jedna z nich — ta niższa, jest wychowanica Kniazia Dawida, a druga, jest słobodzianka z strón waszych, Krasnoroda.

— Borysowna! — dodał z podziwieniem wpatrując się w okno jeszcze pilniéj, — nigdybym do stu sotni niepoznał. W ciągu trzech miesięcy zupełnie inny wzięła pozór, jak dynia gdy przeciw słónka leży? — Wyładniała i zpoważniała; wygląda do stu sotni jak pawa kiedy ogón rozłoży. Ale — ale — pani Kluczni-

kowo, — powiedźcie mi skąd ona, do stu sotni, — tak bogatą katankę i czapkę z strusiem piórem dostała?

— A od kogoż miała dostać, jeśli nie od wychowanicy Kniazia.

— Do stu sotni — ten zamek na samych podarunkach stoi! — zawołał Jordan przechadzając się z rubaszną miną po komnacie, — Dysław dostał miecz, a Krasnoroda bogaty ubior; — niewiém co też ja dostanę?

— Bacząc na twoją dziarską minę, — odrzekła żartobliwie Prakseda, — Kniaź Dawid zapewno da jakiego rumaka.

— Ba! do stu sotni, — kiedy ja

mojego gniadosza nieoddam za wszystkie kniaziowskie rumaki.

— A to dla czego?

— Bo na nim mój ojciec Mikita Owada jeździł gdy bił Tatarów i ja też, do stu sotni, na nim bić będę.

Ostatnie Jordana wyrazy, dosłyszał wchodzący Homir;— spójrzał mu w oczy, milczał przez chwilę, nareszcie rzekł: — to twój kozacze ojciec był Mikita Owada?

— A tak do stu sotni — Mikita Owada.

Homir pokręcił głową, pomruczał i miał więcéj jeszcze robić zapytań, lecz nadejście syna Lassoty zamknęło mu usta.

Zawiązał się ogólny rozhowor o szczęśliwie odbytém polowaniu,— Dysław podziwiał wiełość źwierzyny, unosił się nad zręcznością łowczych, wspomniał o obronieniu wychowanicy Kniazia od napaści niedźwiedzia, i zakończył tém, że jest zaproszony przez Kniazia Andrzeja na myśliwską ucztę.

— A mnież z sobą, – do stu sotni – czy weźmiecie?

— Niepodobna Jordanku, — muszę cię pierwéj przedstawić Kniaziowi.

— Cóż ja do stu sotni będę w zamku robił.

— Mam ja starą sowę, prze-

mówiła wesoło Prakseda, — każę więc ją wbić na wysoką tykę, a ty kozacze, będziesz strzélał z łuku, dla próby czy umiész trafiać.

— Do stu sotni — miałbym po co tak daleko jechać! — Każcie lepiéj pani Klucznikowo, wsadzić tę Kniahinię nocy sobie na czepek, a jeśli ja zamiast ptaka, trafię w waszą głowę, to zaraz kark mój położę na progu, aby p. Homir — do stu sotni — łeb mi uciął.

Śmiéch wesoły zakończył ten rozhowor Prakseda wcale jego dowcipem się nieobraziła, z piérwszego bowiem wejrzenia,

poznała w nim zucha i chwata, który z podobnym żartem nawet-by przed Dawidem się popisał, jeśliby mu Kniaź dał do tego pobudkę.

Dysław wraz z Jordanem przeniósł się do komnaty poprzednio zajmowanéj. Wiarus nieodstępny sługa i towarzysz swojego panicza, przyrządzał powoli ubior ciałostrażników Kniazia Andrzeja.

Do téj komnaty, gdyby kto zajrzał przez szczelinę, zdziwiłby się mocno,— że trzy tak wielkie sprzeczności, mogły się razem znajdować. Syn Lassoty z wyrazem niecierpliwości na twarzy przechadzał się w ciągłych dą-

sach i często wyzierał oknem jak gdyby mógł tym sposobem przyśpieszyć nadejście wieczora;— Jordan Owada z uśmiechem przeglądał bogate stroje, oznaczające godność jego ziomka i kiedy niekiedy przymierzał na sobie i mruczał: — do stu sotni— to niepodobna, aby mnie Kniaź miłościwy tak krasiwo nieodział. — Wiarus, zwyczajnie jak dworak kuty na wszystkie boki, poznał natychmiast skąd ta niespokojność w jego paniczu;— czwanił się tedy oczami i ruchem, że jego namowy, — aby do Wandy przysiadł po kozaczemu,— nieposzły z wiatrem.

Głównym powodem niecierpliwości czy niespokojności Dysława, było to jedynie, że on chciał koniecznie przekonać się, czy Wanda w zamku równie krasiwą i łaskawą będzie, jak na łowach. Chodził więc ciągle po komnacie, do nikogo nieprzemówił ani słowa i ciągle wyglądał oknem.

Choć nieprędko,—jednakże nadeszła pożądana od niego chwila. Słónko zupełnie uciekło z niebokręgu Łucczańskiego, a myśliwskie trąbki zadźwięczały, oznajmując rozpoczęcie uczty.

O jakże wielkie było podziwienie jego, gdy znalazł wycho-

wanicę Kniazia, daleko jeszcze piękniejszą w różowéj tunicę z białemi franzlami i daleko grzeczniejszą, jak podczas myśliwskiéj wycieczki. On opływał w najsłodszych marzeniach i nie pojmował skąd tak wielka mogła być w niéj przemiana.

Ogromne stoły uginające się pod srebrnémi misami, na których były rozmaite ptastwa, łapy niedźwiedzie, grzbiety jelenie, potrawy z zajęców z podlewami i głowizna odyńca, wcale nie przynęcały rozmarzonego mołojca; on tak wspaniałą ucztę obfitością trunków rozweseloną, zostawił

swoim towarzyszóm, a sam ciągle przypatrywał się uroczym wdziękom Wandy i tém się sycił, gdy od niej jaki wyraz posłyszał.

Uczta trwała do północy, a zakończyła się zdrowiem Kniazia Andrzeja, Wandy i wybawcy jej od napaści niedźwiedzia. Ten ostatni toast do reszty odebrał Dysławowi przytomność; on niemógł zdobyć się na wyrazy do wylania uczuć i tylko niskim ukłonem dziękował wszystkim, za wyświadczoną mu łaskę.

Wkrótce od stołów ruszono. Dysław jak szalony wbiegł do komnaty i rozbudził Jordanka.

Wiarus dotychczas niespał i jak z jego miny wnosić należało, to i on, z hrydniami Kniazia młodego, biesiadował.

IX.

Drogi upominek.

Jeżeli łaskawe i uprzejme przyjęcie na myśliwskiej uczcie, do najwyższego stopnia rozweseliło syna Starego Posadnika, z czemże więc radość śmiałego Jordanka da się porównać, kiedy on jak jaskółka w powietrzu, szybko

wyskoczył z posłuchalnéj sali,— przebiegł szeroki dziedziniec, przeszmyrgnął schody i wpadł z hukiem, trzaskiem do Prakse-dy Homiréj, wołając: Spójrzcie do stu sotni, czém mnie obdarzono na sali!

— Co ja widzę, — zawołała z podziwieniem Kłucznikowa,— na tobie ubior przybocznikôw Kniazia Dawida? Cóż to ma znaczyć?— Do podobnéj godności tylko synów Bojarskich dotychczas przypuszczano, albo mołojców za bardzo wielkie usługi?

— Do stu sotni — pani Homirowo,— cóż to wy sobie sądzicie że jestem synem prostego słobo-

dnika? — O nie — mój ojciec do stu sotni — jak mi babka powiadała, miał wielkie poważanie u wszystkich w całéj Rusi Kniaziów a znaczenie i miłość, między mężami walecznémi. Otóż — jakem tylko powiedział, że jestem syn Mikity Owady, poległego w boju przeciwko Tatarom, natychmiast Kniaź, pan mój miłościwy, kazał mnie przystroić ot tak do stu sotni — jak widzicie.

— Brawo Jordanku — ty przy łascę miłościwego Kniazia, a swojéj śmiałości i odwadzę, wyjdziesz niezawodnie na wielkiego Bojara. Po krótkiéj przerwie doda-

ła:—Ale cóż to za płachtę żmiesz ciągle pod pachą?

— To mój ubior, w którym przedstawiałem się Kniaziowi. Schowam go, — bo jeśli Bożena niepozna mnie w tym stroju, to go do stu sotni zrzucę i przyodzienę się po dawnemu.

Prakseda spójrzała w wesołe lica kozaczka, westchnęła i pomyślała w duszy:— o gdyby mnie Bóg pocieszył tak szlachetnie myślącym synem, byłabym najszczęśliwszą z matek.

Jordan zniecierpliwiony jéj milczeniem, wybiegł aby przed Wiarusem poczwanić się tak zaszczytném strojem. Lecz zadzi-

wił się mocno, gdy znalazł go zupełnie obojętnym a nawet zimnym jak miecz w pochwie i jeżeli okazywał jakie uczucie, to uczucie nieukontentowania.— Co było do tego powodem? — niech sobie każdy z jego pokątnych mruczeń wytłumaczy, które można zebrać w następujące wyrazy:— Ten młody szatan narobi w zamku tyle kwasu, że trudno będzie mojemu paniczowi wypić. Trzeba go będzie koniecznie stąd wyprosić.

Praworny Jordan, zajęty sam sobą mniéj zważał na grymas Wiarusa: wziął torban do ręki, począł drumkać wesołe przegryw-

ki i śpiewać dumki kozackie. Wiedział on że z dnia jutrzejszego rozpocznie się jego zawód, jego służba przy Kniaziu Dawidzie i że będzie mógł żyć w ciągłych, jak sobie życzył, wojennych zatrudnieniach; — ani na chwilę tedy niestracił dobrego humoru.

Gdy rubasznémi śpiewkami urozmaicał sobie samotność, syn Starego Posadnika, w komnatach Wandy, dokąd go Artemon wprowadził, w największych przyjemnościach przepędzał godziny. Wychowanica Kniazia niezmiernie była zadowolniona z odniesionego zwy-

ciężtwa nad jego sercem, a on, widząc ją dla siebie tak przychylną i tak łaskawą, również bundiuczył się swoim tryumfem nad innymi.

Upływała zima na samych zabawach, tańcach i ucztach;—lecz daremno silił się Dysława zachęcić do rozrywek, prawornego Jordana. On zawsze jedno mu śpiewał: Będzie mi jeszcze do stu sotni, czas do zabaw, — a teraz muszę oko i rękę przyuczać, abym mógł na wiosnę trafnie godzić w Tatara. A jeśli uczynił mu kiedykolwiek wyrzut, że on unika Krasnorodę; — zbywał go wtedy następną odpowiedzią: — Ona wie

że się ja dla niéj niezmienię, — a jeśli mnie kocha jak na kozaczkę przystało, — to niepowinna do stu sotni, wymagać, abym ja służbista, przed nią drybki wywijał i skakał.

Ta jego niechęć do podzielania zabaw, nieraz dla syna Lassoty wielką przynosiła roskosz, ponieważ mógł bez tak surowego i niebezpiecznego świadka, wywnętrzać przed Wandą uczucia, które do jego siostry, raz nazawsze należyć powinny były; — częściej jednak napominała go, dla czego ty się bawisz, kiedy twoja najmilsza, może w téj chwili umiera z tęsknoty? — Przy

takich napomnieniach, brwi jego się jeżyły, — skupiały, — twarz bladła a z piersi wydobywały się ciężkie westchnienia. On więc ubolewał, rozpaczał, unikał widzenia się i rozmów z Jordanem. Lecz gdzież się miał ukryć przed nim? — lub jak mógł postanowić, niewidzieć Wandy, kiedy niewysłowiony pociąg kierował jego kroki zawsze do jéj komnat?

Każdy z Bojarów przyznawał, że sztukę podobania się, posiadała Wychowanica Kniazia w wysokim stopniu; stąd jéj zabiegi, co do uwikłania w sidła miłośne krasiwego mołojca, wcale próżnémi niebyły. Czarne jéj oczy, humor

wesoły i przystępny tak omamiły syna Lassoty, że on, — niemożna temu zaprzeczyć, — z prawdziwą roskoszą przy niéj przepędzał chwile. O jeśliby nie wspomnienia przeszłości, onaby nad nim zupełne zwycięztwo odniosła.

Z przyczyny tych to właśnie wspomnień, nieraz on wpadał w ponure, dręczące marzenia; odrywał się od szumnych zabaw i w samotności przeklinał łaski, któremi oba Kniaziowie go obsypywali, przeklinał przyjaźń Artemona i Homira, — przeklinał nawet wszystkie wyrazy Wandy i przymilenia, które powoli

wzniecały w nim miłość, aż nareszcie rozciągnęły władzę panowania nad sercem.

W chwilach tak przykrych, będących wypływem zgryzoty sumienia, pragnął on najgoręcéj wrócić na łono miłéj Maryji, gdzieby jego szczęście mogło być szczęściem prawdziwém. Otóż jednego wieczora, dał się z tém słyszéć przed Wandą, że zamyśla prosić Kniazia o uwolnienie od obowiązków, choć na jeden miesiąc. Wychowanica Kniazia, zaledwo zdołała utaić łzy połyskujące na szklistéj czarnych ócz powłocę; straciła jednak wesołość i ciężkiem westchnieniem da-

ła mu do zrozumienia, jak jego odjazd byłby dla niéj przykrym. Artemon będący świadkiem tak smutnéj wzmianki, którąby w następstwie, wszystkie jego plany, niezawodnie pokrzyżowała, — przemówił z powagą: — Życzenie twoje p. Dysławie, pomyślnego skutku wziąść niemoże, gdyż na wyjazd, Kniaź nigdy niezezwoli. On ciebie miłuje jak własnego syna i w tobie tak dalece wszelką pokłada ufność, że w tych dniach będziesz mianowany dowódzcą jego przybocznych hufów.

— Łaski Kniazia miłościwego i tak już związały moje serce na

zawsze wdzięcznością; — jednakże, chociażby one do najwyższego stopnia hojności się posunęły, to niezdołają przygasić tęsknoty za ojcem i rodzinną ziemią. Przedstawię tedy ważne powody do wyjazdu. Kniaź Dawid ulituje się nad słabością mojego serca i przychyli się łaskawie do życzenia, z uwagi, że z nadchodzącą wiosną pójdę na Tatary i może już więcéj w rodzinne strony niewrócę.

— Nic z tego niebędzie, przydał stanowczo Artemon,— Kniaź nieoddali cię od swojego boku i prędzéj na to przystanie, że Starego Posadnika zawczwie do

zamku i umieści go w kole doradzców, jak ciebie uwolni od obowiązków służbowych.

Dysław zasumował się i westchnął, poznał że już za daleko zabrnął swojém częstem nastręczaniem się w zamku, że wszystkich uczynił dla siebie przyjaciółmi, którzy pragną aby on, z dnia przybycia do Łucka, począł oddéchać nowém życiem, nowémi myślami i nadziejami, a przeszłość złożył raz na zawsze w grobie, jak ciało najmilszéj istoty pozbawionéj ducha żywotnego.

Wanda niemogąc dłużéj znieść jego milczenia, słodkim przemó-

wiła głosem: — Zostań, zostań z nami p. Dysławie. Kniaź Dawid zastąpi miejsce ojca, a ja — chciała powiedzieć słobodzianki, — lecz zarumieniła się i cicho dodała, — siostry. Krasiwy mołojec, tłumaczący sobie inaczéj jéj chwilowy przestanek, do takiego stopnia był oczarowany, iż zapomniał o wszystkiém, uchwycił rękę i gorącym pocałunkiem za jéj dobroć podziękował.

Z téj chwili zupełnie w innéj treści nastąpiła mowa; rozprawiali o zabawach i ucztach mających jeszcze być w zamku. Mołojec w coraz weselszy wpadał humor i nie tylko że wybił z pa-

mięci wyjazd do rodzinnej ziemi lecz i Maryję, którą kochać do skonu przysięgą był zobowiązany.

Przy rozstaniu się, Wanda nieznacznie uczyniła zwrótkę do poprzedniego rozhoworu. Jestem pewną, rzekła, że p. Dysław nieodstąpi swojego zamiaru i będzie Kniazia prosił o uwolnienie, choć na czas krótki od obowiązku; przyjmcież więc odemnie w upominek ten krzyżyk złoty, który otrzymałam z rąk najłaskawszego opiekuna. Kniaź Dawid doręczając mi go, życzył aby on pocieszał mnie we wszelkich strapieniach i strzegł od każdej

złej doli. Ja, też same życzenia, wam p. Dysławie powtarzam.

— Najdroższa Wando, odrzekł z zapałem, ściskając rękę z której odbiérał upominek,— już tyle z twéj strony doznałem łaskawości, że niejestem w mocy inaczéj zawdzięczyć jak tą przysięgą, że ten krzyżyk nazawsze przy mnie zostanie. A jeżeli kiedy do twoich on rąk wróci, to będzie dowodem że mnie już niéma w gronie śmiertelników.

W kilka dni, po otrzymaniu od Wandy tak drogiego upominku, sprawdziły się słowa Artemona. Syn Lassoty został ozdobiony

łańcuchem Bojarskim i otrzymał dowództwo nad przybocznikami. Lecz niedość na tem. Kniaź Dawid wprowadził go do komnaty, do któréj, kromie Artemonowi nikomu wchodzić niewolno i w te się ozwał słowa: — Dysławie — synu walecznego męża, przekonałem już ciebie o mojéj troskliwéj opiece; wywyższyłem cię nad innych, starszych wiekiem i zasługami w kraju, w nadziei że twoja odwaga i poświęcenie się w czasie wyprawy, zamknie usta tym wszystkim, którzy dziś pokątnie mruczą i niemiłém na ciebie spoglądają okiem Ale i drugie osoby, równie jak twój los, tkwi

w mojej myśli; — ja bezustannie mam ją na oczach i o niéj właśnie mam z tobą pomówić. Dowiedziałem się od Artemona, że miłujesz moją wychowanicę i że ona z najświętszym zapałem twoje uczucia podziela; — miłoby więc dla mnie było pobłogosławić wasze wspólne uczucia, gdyż ja w osobie twojéj widzę młodzieńca szlachetnego charakteru i najlepszego względem kraju, sposobu myślenia,— słowem, widzę młodzieńca zasługującego na moją opiekę i nosić imie małżonka mojéj wychowanicy.

— Kniaziu i panie miłościwy, odrzekł z pokorą Dysław, —

z ogromu szczęśliwych waszych podwładników, mogę wyrzec śmiało, że nad moje zasługi, jestem najszczęśliwszy. Zaszczytna troskliwość wasza rozciągnęła się nademną nietylko na dziś, ale nawet na moją przyszłość. Niesądzę jednak, aby wychowanica wasza zgodziła się na połączenie z moim losem, kiedy tylu synów rodu wysokiego, ubiega się o jéj rękę.

— Twoja w tym względzie niepewność, jest dla mnie miłym dowodem, że o sobie niemyślisz wysoko, chociaż cię moja opieka do coraz większéj posuwa godności. Pochwalam tę twoją skromność,

w niéj bowiem przebija się cnota pogardzania pychą i przechwałkami, tak rzadko dla młodych serc przystępna. Lepiéj jest od innych na jedno dobre słowo zasłużyć, jak samemu przez całe życie czwanić się i nadymać; — a że się trzymasz tego zdania, zasługujesz więc tym bardziéj, na moje względy. Co się tyczy serca mojéj wychowanicy, już jesteś aż nadto przeświadczony o jéj przychylności; co do zezwolenia z jéj strony na połączenie wiecznym węzłem waszych wspólnych uczuć, to będzie odtąd mojém staraniem.

Na tém zakończył mowę Kniaź

Dawid, wielki mąż w boju, łaskawy władzca narodu i troskliwy opiekun o los swojéj wychowanicy.

Syn Lassoty, młody dowódzca przyboczników kniaziowskich, nim powrócił do swojéj komnaty, przebiegły Wiarus już wiedział o tém, jakie jego panicz miał pogadanie w sekretnéj sali. Artemon bijący ciągle na to, aby Wandę połączyć z tak zamożnym mołojcem, natychmiast o wszystkiém go uprzedził i nakazał śledzić, jakie na nim zrobi wrażenie mowa Kniazia Dawida.

Wiarusowi, podobne zlecenie dwa razy w ucho wkładać nie-

trzeba było, — gdyż on pragnął koniecznie odwrócić panicza od słobodzianki, a tém samém zadosyć uczynić Staremu Posadnikowi w jego życzeniach. Krążył więc wokoło Dysława jak orzeł nad swojém gniazdem i czekał stosownéj pory, do rozpoczęcia w téj myśli rozhoworu. Dysław wzruszony dobrocią Kniazia Dawida, niemógł długo utrzymać w tajni zrobionéj mu propozycji, i skoro tylko sam na sam z Wiarusem pozostał, natychmiast całą rzecz wyjawił.

— Paniczu kochany, zawołał z uniesieniem kozak, — chwytajcie się téj łaski miłościwego Knia-

zia, — ona was do wysokiej godności doprowadzi. Uszczęśliwicie siebie, Wandę i Starego Posadnika, który was tak kocha jak swój honór, swoje imie i spokojność domową

— Dobra twoja rada kozacze, lecz ja bardzo wiele mam do pokonania przeszkód, nim zdołam głośno z tém się odezwać w zamku, że się żenię.

— Jedną i tą najgorszą macie zawadę, odrzekł gniwliwie Wiarus, — że ten młody szatan, Jordan, wściubił się w łaski naszego miłościwego Kniazia. To jeszcze wielkie szczęście, że jest tak zapalonym do ćwiczeń

bojowych, — że ciągle unika zabaw, a tylko przystaje ze starymi wojakami; — inaczéj okropna burza byłaby już w zamku, a wszystkie pioruny na waszą głowę spadły.

Dysław ciężko westchnął, gdyż czuł prawdę tych przedwieszczan. Wiedział aż nadto dobrze, że Jordan tak zuchwały i tak odważny na wszystko, podniósłby miecz nad jego głową, za zniewagę wyrządzoną siostrze i jego rodowi, którym się pysznił; — że wzburzyłby wszystkie zamysły i przedstawił go w oczach całego świata, jako podłego oszusta. Biedził się więc nad swo-

jém okropném położeniem i gdyby nieprawowity Wiarus, onby prędzéj uciekł od wszelkich łask kniaziowskich i od Wandy, w któréj rzeczywiście widział swoje przyszłe szczęście i wywyższenie, — jak przyznał się przed Jordanem w zamiarach. Wiarus doradzał mu, aby młodego kozaczka posunąć na jaką wyższą godność i przesłać do innego zamku.

Dysław długo rozmyślał, sam nie wiedział co ma począć, przyrzekł albowiem Bożenie mieć ciągle Jordanka na oczach. Nareszcie przystał na wysłanie go do innego zamku, lecz niechciał przy-

jąć na siebie uczestnictwa do podobnego działania. Wiarus i w *tym* razie przyrzekł mu dopomódz. Poszedł natychmiast do Starego Artemona, w którym zupełną pokładał nadzieję, *że* uskuteczni jego pomysł, tak zbawienny dla Dysława i wychowanicy Kniazia.

X.

Przyszłość Wandy.

Kniaź Dawid, mając przy boku swoim syna Andrzeja, kilku Panów radnych i starego Artemona, rozmawiał, już od dwóch godzin, wesoło, o skutku dwumiesięcznych narad z Bojarami, którzy się nareszcie rozjechali do swoich hufów.

— Zemsta Tatarów, — mówił on, — za zabicie Bałakłaja ich Chana, mogłaby dla nas w innym przypadku być straszną, gdyby zgoda niebyła wiążącym siły nasze łańcuchem, a zapał i poświęcenie się zarzewiem, do koniecznego poskromienia tak zuchwałéj dziczy. Niemożemy więc wcale obawiać się klęski: gdzie ogół w jedności i odwadzę działa, tam pewne zwycięztwo.

— Przeczucie wasze Kniaziu miłościwy, ozwał się jeden z Panów radnych, — powstało z ważnych pobudek, bo z głosu powszechnego tak rycerstwa jako też i Starszyzny, wołającego o

pomstę, o odwet za uczynione wszej Rusi uszczerbki, zuchwałém najściem dziczy pogańskiej;— nienależy jednak zupełnie ufać nadziei w odniesieniu zwycięztwa Kto wie, może w dziesięć sotni razy z większą siłą będziemy mieli do sprawy, jak są nasze;— mojém więc zdaniem jest aby grody i zamki nieogołacać zupełnie z żołnierstwa, bo w razie niepomyślności w boju, niemielibyśmy gdzie się oprzéć, a tém samém położyć tamę dalszym zapędóm Tatarskim. Kniaź na Kijowie sprawiedliwie obstawał przy swojém mniemaniu, aby gród jego, niegdyś stolica połu-

dniowéj Rusi, był jak najmocniéj obwarowany, z powodu że przejście Dniepru pozwoliłoby poganóm, wzdłuż i wszerz wszystkie ziemię, po Bug i daléj przeplondrować, sioła i grody wyniszczyć,— naród wyciąć, a Kniaziów, którzyby przy życiu zostali, zabrać do niewoli.

— Dziękujemy wam, za powtórzenie wniosku Kniazia na Kijowie, odrzekł Dawid, - przed wyruszeniem z władnicy naszéj na wyprawę, będziemy mieli dosyć jeszcze czasu do myślenia nad zabezpieczeniem wewnętrzném kraju; — a teraz pozwólcie mi wypocząć na łonie słodkiéj

nadziei, że Bóg będzie sprzyjał naszym przedsięwzięciom, — pozwólcie mi zająć się domowémi familijnémi sprawami. Najdalej po upływie tygodnia, zbierzemy się dla narady w tak ważnym przez was podanym przedmiocie.

Skoro Panowie radni opuścili salę, Kniaź Dawid obrócił do syna swojego mowę, którćj Artemon był obecnym.

— Synu mój, rzekł on poważnie, — pod twoją opieką kilka sotni dzieci Bojarskich pójdzie, na polu bitwy szukać dla siebie sławy, lub szlachetnego skonu: — bo walczyć będą dla obrony praw swobód i za wyrządzone krzyw-

dy i klęski téj ziemi, na któréj piérwsze światło wiary ujrzeli. Bacząc na twoje lata młode, miałbym za święty sobie obowiązek udzielić rady, jak masz działać podczas krytycznych zajść, jakie spotkać mogą śród bojowiska, gdyby z drugiéj strony, twoja przytomność i dobre serce nieuwalniały mnie od nich, albowiem każą mi być pewnym że o ile możność pozwoli, będziesz oszczędzał swoich hufów,— niegorączkował się i nierozpaczał wcale, chociaż nawet zwycięztwo przejdzie na stronę przeciwników: bo sam rozum powiada, że ślepe rzucanie się na przemagającą licz-

bę, bardziéj upadek jak tryumf przysporzyć może. Przejdę więc, dla pomówienia z tobą, do innego przedmiotu o którym pewno dotąd ani wspomniałeś. Ja sam przez czas długi w wielkim zostawałem grzechu, aż nareszcie Artemon, mąż pełen doświadczeń, zwrócił moją uwagę. Wychowanica nasza, kochana przez ciebie Andrzeju, istota godnie zasługująca na imie twéj siostry, — już jest w tych latach, w których serce próżnować nielubi; — jeśliby więc była z naszéj baczności, co do przyszłego losu, wypuszczona, mogłaby przez niewiadomość lub słabość

wrodzoną kobiétom zatruć szesnastoletnie nasze o niéj staranie. W tym celu, poleciłem memu przyjacielowi Artemonowi, śledzić każde słowo i każde uczucie Wandy, a skoro jéj wybór padnie na którego z synów Bojarskich, wysokiego rodu i szlachetnych postępków, aby mi natychmiast doniósł. Rzecz na tém stanęła, że Dysław, syn Starego Posadnika, męża we wszystkim prawego i zasługującego na naszą miłość, pozyskał największe u niéj poważanie. Niezaniedbałem więc wybadać mołojca, jakich jest względem niéj uczuć i zamiarów, a przekonawszy się

nietylko o jego chęciach lecz i Starego Posadnika, — postanowiłem oddać mu naszą wychowanicę za dozgonną towarzyszkę.

— Kniaziu i ojcze — przemówił Andrzej, — tam, gdzie zezwolenie i błogosławieństwo wasze mają miejsce, życzenia i myśli moje niezawodnie się znajdują; — pomimo to jednak, poważyłbym się odezwać z przeciwnym zdaniem, jeżeliby wam ojcze, w fałszywém świetle przedstawiono rzeczy. Ja, — co do syna Starego Posadnika, mogę tylko mój żal wynurzyć, z powodu oderwania od mojego boku tak szlachetnego młodzieńca.

— Mój synu! — Posunięcie go na wyższą godność, stało się nie dla umartwienia twojego, lecz dla uniknienia nieporozumień i sporów, jakieby niezawodnie nastąpiły, — gdybym, pominąwszy tylu zaszczyconych godnościami synów wysokiego rodu, oddał naszą wychowanicę ciałostrażnikowi z twoich hufów. Jednakże, ponieważ tak go miłujesz, — skoro więc rozpocznie się wyprawa Tatarska, on powróci do ciebie w godności Bojara

To rzekłszy, obrócił się do starego przyjaciela i dodał: Do ciebie Artemonie należy zawiadomić Starego Posadnika o przy-

chyleniu się do jego życzeń i żądac, aby zjechał do naszego zamku, jeśli mu tylko niedołężna starość nie będzie na przeszkodzie.

Na tém zagaił się rozhowór względem losu wychowanicy.— Artemon uradowany pomyślnością swoich układów i zabiegów, wracając do Wandy spotkał się na kurytarzu z Wiarusem, który od godziny już oczekiwał na jego przybycie. Dla tajemniczego w ważnym przedmiocie pogadania, wprowadził go Artemon do swojéj komnaty.

— Wszystko, panie miłościwy, rzekł przebiegły Wiarus,

idzie gładko, jak gdyby droga do przyszłego szczęścia dla mojego panicza były umyślnie wysłana.

— A więc dobrze, odparł Artemon, — dziś jeszcze w skutek zlecenia Kniazia Dawidá, wyślę posłańca do Starego Posadnika aby zjechał do zamku. Ślub w obecności jego się odbędzie; a tak, wszystkie nasze mozoły i zabiegi zakończą się dobrze.

— Co dobrze, to dobrze, a co złé to źle, mruknął Wiarus.

— Trwożysz mnie kozacze swojém gadaniem. Ja nic złego nietylko niewidzę, ale nawet nieprzeczuwam.

— Ej panie miłościwy, — diabeł nie śpi i znowu palce między szpary wkłada.

— Ale ty śpisz kozacze i pleciesz jak przez sen.

— On nie — panie miłościwy, na własne uszy słyszałem jak młody Jordan dowodził mojemu paniczowi, że wychowanica Kniazia jest najkrasiwsza ze wszystkich Łucczanek, i że wszelkich użyje sposobów dla pozyskania u niéj względy; — a ja tego mołojca znam od maleńkości, — on jeśliby zamyślał dostać mitrę kniaziowską to niezawodnie dostanie. To szatan, —

on umie się każdemu przypodobać.

— I cóż z tego?

— On więc jest bardzo dla mojego panicza niebezpieczny, z czego najlepszy można mieć dowód, że p. Dysław, nieodważył się dotychczas przed nim wyjawić że Wandę miłuje; bo jeśliby się odezwał, to pewno mieczem ten szatan, dałby mu na to odpowiedź.

— Alež — kozacze — wprowadzasz mnie w nowy kłopot? — przekonywasz że źle chodzę około spraw domowych — i złe daje baczenie na postępki wychowanicy Kniazia; dotąd albowiem

byłem najpewniejszy, że ona ani zna, ani słyszała nawet o Jordanie

— I ja tego zdania jestem, — zagabnął Wiarus, — ale podobno żaden z nas ani widział, ani rozmawiał z Bogiem, a przecież go całém sercem i duszą miłuje. Cóż więc dziwnego że Jordan, ten zapaleniec, słysząc ciągle o dobroci i krasocie Wandy, już w niéj szalenie do takiego stopnia się rozmiłował, że niezawodnie wszelkie usunie przeszkody i będzie ją widział.

— Gdy tak, — odparł Artemon, — to go wyproszę z Łucka

— Właśnie, o to rzecz idzie.

Miałem o tém mówić na wstępie, alem chciał wprzódy panu miłościwemu donieść jakich jest Jordan zamiarów. Teraz z drugiéj strony przedstawię wam tego śmiałka, co podobno poda sposobność do pozbycia się go z zamku. On z lat dziecinnych tak polubował zawód wojenny, że dzień i noc jeździłby tylko na gniadoszu i wywijał rohatyną,— każde więc wywyższenie jego w służbie, może mu tak dalece zaślepić oczy, że on, oprócz wojskowych ozdób, nicby przed sobą niewidział i zapomniał o wszystkich swoich miłośnych zamysłach. On należy do rzędu

tych mołojców, — którzy ze zmianą stanu i miejsca na nowo żyć poczynają, a przeszłość tak zagrzebują jak niepomyślność w boju jakiém nowém zwycięztwem. Dobrzeby więc było wysłać go do innego zamku dla sprawowania wyższych obowiązków. Tym sposobem pozbędzie się go bez narażenia na kłótnie z nim mojego panicza.

— Dobrze mówisz kozacze, ostrożność wcale niezawadzi. — Z resztą postępując podług twojéj rady, otworzy się pole młodemu Jordanowi do lepszego ćwiczenia się w sztucę wojennéj. Ja o nim bardzo wiele słyszałem dobrego

i dla pewnych przyczyn, które niechaj czas wyświeci, — mam obowiązki czuwania nad jego losem.

Wiarus zadowolniony skutkiem chytréj przebiegłości, chciał się jak najprędzéj widzieć z Dysławem, ale jego chęci spełzły na niczém: — On bowiem po całych dniach przesiadywał przy Wandzie, a przed pytającymi tym się tłumaczył, że z przemianą obowiązku przybyło mu więcéj zatrudnień przy boku Kniazia.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW

TOMU DRUGIEGO.

ży Małayan

o ty rozhawarysz

Emo